

EWA WALECKA-KOZŁOWSKA

ur. 1922; Ręczno



Miejsce i czas wydarzeń	Niemcy, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Niemcy, II wojna światowa, transport, obóz koncentracyjny w Ravensbrück, warunki obozowe, apele, selekcje, greckie więźniarki

Pobyt w obozie w Ravensbrück

Jest kwiecień [19]44 rok. Słyszymy, że już front wschodni się zbliża, że Rosjanie niedługo będą w Lublinie. Niemcy likwidują w pośpiechu obóz, część [więźniów] wysyłają do Oświęcimia, do Birkenau, część kobiet do Ravensbrück. Mnie wysłano z tysiącem kobiet do Ravensbrück. Mężczyzn do Gross-Rosen, do kamieniołomów, do innych obozów, do Dachau, do Sachsenhausen. I znów bydlęcymi wagonami wiozą nas w nieznaną do obozu. Ja nie wiedziałam, gdzie ja jadę i co to jest Ravensbrück. Mijamy Berlin. Widzimy przez szpary kikuty domów. Zrujnowany zupełnie, w zgliszczach. Cieszymy się, że nie tylko Warszawa, ale Berlin także. I nareszcie wysiadamy na małej stacyjce w bardzo pięknym miasteczku. Prowadzą nas przez miasteczko, które nam się wydawało wówczas bajkowe, po tym obozie strasznym. To już jest kwiecień, dziewiętnasty, ciepło, już tam są kwiaty przed domami, trawa przyszyżona, dachy czerwone. No pięknie. Ale ani żywej duszy na ulicach. My tak idziemy, tylko słysząc nasze drewniaki, jak o bruk stukają. Białe dostałyśmy chusty, czyste, nowe, czyste pasiaki na drogę, drewniaki nowe, wszystko nowe. I tak idziemy przez to miasteczko, a tylko w oknach zza firanek widać głowy kobiet. Żadna nie wyszła, żeby nam podać szklankę wody czy coś do jedzenia. Nic. Głucha cisza. Tylko te drewniaki słysząc nasze. I tak przed nami nagle otwiera się olbrzymia brama żelazna, olbrzymi mur – nie tak jak na Majdanku druty, tylko mur – i wchłania nas nowy obóz, gdzie czarny żwir pokrywa ziemię. Czekamy na kąpiel przed takim barakiem. To był kwiecień, słońce było i w tym słońcu lśnił taki maleńki medalik. Podnoszę, a to amerek. Imię francuskie i moja data urodzenia: 1922. To był mój talizman. Przechowywałam go przez cały rok w Ravensbrück, przez cały czas w Szwecji, bo później dostałam się na leczenie do Szwecji, a po pięćdziesięciu latach ukradziono mi go w autobusie.

Tysiąc kobiet w jednym baraku, za parę dni wywożą cały nasz transport gdzieś. Jak się okazało po wojnie, do fabryk amunicji. One tam przeżywały bombardowania – po

wojnie koleżanki mówiły mi. Między innymi Danusia Brzosko-Mędryk tam była. Ta miejscowość nazywała się chyba Leipzig. A mnie, panią Wandzię Kaźniakowską, sędzię z Warszawy, starszą panią, Niusię Kucierzyńską, Tusię Orzechowską, nas pięć zostawiają. Mnie zostawiono tylko dlatego, że komendantowa o to widocznie prosiła. Nie mogła nic zrobić, bo płakała, jak nas mieli wysłać do innych obozów. Mówiła: „Nic nie może mąż zrobić. Był w Radomiu” – ja należałam do dystryktu radomskiego tak zwanego. To było straszne Gestapo. Ponoć komendant był w Radomiu i prosił o moje zwolnienie. Komendant obozu! Ale Gestapo nie chciało się zgodzić. I mówi: „Jesteś w gestii Gestapo i Gestapo nie chce się zgodzić na twoje zwolnienie”. Taka zbrodniarka osiemnastoletnia byłam, że musiałam jechać do innego obozu. I mnie zostawiono wraz z panią Wandzię Kaźniakowską, która później mną się bardzo opiekowała, nazwałam ją ciocią obozową, bo moją ciocię właśnie wywieziono. Ona się mną opiekowała, jak dostała paczkę, to dzieliła się ze mną i z tymi koleżankami. Nas pięć się trzymało razem, tworzyłyśmy taką rodzinę obozową. Ja dostałam paczkę, to się dzieliłam i każda z nas dzieliła się z innymi. Warunki były straszne, nie do pomyślenia po prostu. Tysiąc kobiet. Dosłownie. Tysiąc w baraku. Różnej narodowości, różnojęzyczny tłum. Głowa pękała nie tylko z głodu, ale z tego wielojęzycznego tłumy. Niemiecki, angielski, polski, rosyjski, francuski, cygański, żydowski, Boże! To było niesamowite! Po pięć, po sześć na pryczy. Makabra. To była tak zwana kwarantanna. Nie wolno było wychodzić. Zaduch! I nagle do tego baraku przychodzi *Läufer*, kobieta, Niemka, więźniarka, wywołuje mój numer 36807 i prowadzi mnie do komendanta. Nowego już, do komendanta obozu Ravensbrück. A tu nagle staje kto? Komendantowa Weissowa i starsza wytworna dama, jaj matka. Komendantowa mnie wita. Mówi: „*Mein Gott*, Ewa! Co się z tobą zrobiło?” – ja już wyglądałam strasznie. Zapadnięte policzki, oczy, głębokie oczodoły. I dosłownie leciały jej łzy z oczu. Nie patrzyła na komendanta, że on patrzy. Zaczęła go o coś prosić. Ja słyszę ciągle, że on mówi „Gestapo, Gestapo”, że nie może nic zrobić. A ona mnie chciała wziąć do siebie. Była już w odmiennym stanie. Chciała mnie ratować po prostu, ale komendant się nie zgodził i mówi: „Nic nie mogę zrobić”. Komendantowa rozkłada ręce i ja z powrotem do tego baraku straszego.

Na drugi dzień przychodzi auzjerin, wywołuje mój numer 36807 i prowadzi mnie do kuchni, gdzie nosiłam kotły z różnymi więźniarkami. Raz z Francuzką młodą, raz z Ukrainką, innym razem z Rosjanką, a jeszcze innym razem z młodą Niemką. Ja zdziwiona: „Ty Niemka i też w obozie? Za co?”. A ona mówi: „Słuchałam Radia Londyn i oskarżyła mnie koleżanka na Gestapo, dlatego mnie wysłano do obozu”. Było też mi teraz lżej, bo przeniesiono mnie do baraku funkcyjnego, gdzie spałyśmy dwie tylko na pryczy. I oczywiście więcej zupy mogłam zjeść, więcej ziemniaków, a także, pod wielkim strachem, zanosłam do bloku dla pani Wandzi Kaźniakowskiej, dla Niusi Kucierzyńskiej i dla innych. Pod wielkim strachem wiązałam się sznurkiem, zakrywałam jaką, i nosiłam gorące ziemniaki, albo zupę w znalezionej menażce. Przechodziłam przez wachę kilka razy dziennie. Przecież mogli tylko powiedzieć: „

Halt!", zrewidować mnie i dostałabym się do *Sztrafbloku*. Bo był *Sztrafblok* w Ravensbrück. A *Sztrafblok*, to był tak straszny, z którego rzadko która wyszła, jak się tam dostała, bo raz na trzy dni gorącą strawę dostawały, po ścianach lała się woda, szczury biegały tam. Ale ja nie myślałam o tym, tylko chciałam zanieść, bo pani Wanda czekała już w oknie baraku, ręce jej się trzęsły, czy ja jej przyniosę. I któregoś dnia jest *Arbeitsapel*, ja z kuchni biegnę, a tu wychodzą na zewnątrz komanda. I natknęłam się na *Oberaufseherin*. To była piękna blondynka, ale strasznie zła, sadystka. I ona do mnie mówi: „*Halt!*”. Ale nie spojrzała, że tu mam tak grubo, tylko patrzyła, czy numer jest. Bo trzeba było numer zawsze mieć na sukience i na żakiecie. Zobaczyła, że jest numer, i mówi „*Gut!*” i mnie tak rąbnęła w plecy, że upadłam na ten czarny żwir. Nie wiem, jak się podniosłam, i nie wiem, jak zaniosiłam pani Wandzi tę supę w menażce. I mówię: „Pani Wando, ja już więcej nie przyniosę”. I mówię jej, co było. Kilka dni nie nosiłam, ale po kilku dniach znów jej nosiłam. Zobaczyła to Francuzka i mówi do mnie, żebym jej też przynosiła, bo ona jest bardzo bogata i po wojnie, jak przeżyjemy, to pół majątku mi zapisze. Raz czy dwa razy jej zaniosiłam, ale czyż mogłam wszystkim nosić? Nie byłam w stanie, gdy głodne były moje koleżanki.

Apele były straszne. Ciągłe były selekcje. Auzjerin laskę miała taką i za szyję wyciągała kobiety na tę stronę do komory gazowej. Wystarczyło mieć spuchnięte nogi czy czyraki, które miałam zresztą na Majdanku, ale właśnie chłopiec mi przysłał lekarstwa i pani Perzanowska, lekarka z Radomia, którą wcześniej znałam z naszego baraku, dawała mi zastrzyki. I codziennie było mniej tych ropnych czyraków, ale chowałam się zawsze drżąca na apelu, żeby mnie nie zauważono z tymi czyrakami, bo niechybna śmierć by była. Te wyłowione były od razu brane do komór gazowych. Najczęściej były to Greczynki. Los Greczynek był straszny. Znikąd pomocy. Bo myśmy jednak od czasu do czasu jakąś paczkę dostawały, a one nic. Piękne przyszły, młode dziewczęta, rozśpiewane, uśmiechnę, a z czasem robiły się takie chude. One masowo szły do komór gazowych, boso, w koszulinkach takich króciutkich. Przed naszym barakiem maszerowały akurat do komór gazowych. I rozstrzeliwania młodych dziewcząt [były], 22 lata. Tylko dlatego, że u nich w domu znaleziono broń, były rozstrzeliwane.

Data i miejsce nagrania	2006-02-15, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"